Pojemna delta

Florian Śmieja przez Szkołą Podstawową w Kończycach, do której uczęszczał.

Edward Zyman *(Toronto)*

Florian Śmieja, nestor polskich poetów w Kanadzie, tłumacz i badacz literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej,

emerytowany profesor uniwersytetów angielskich i kanadyjskich, wykładający także w wielu uczelniach polskich, w jesieni swego życia imponuje niezwykłą aktywnością. Publikuje nowe tomy wierszy, esejów, szkiców i wspomnień, tłumaczy, jest obecny w krajowej prasie literackiej. Tylko w nowym tysiącleciu opublikował dwanaście książek, w tym obszerny, ponad czterysta stron liczący wybór poezji *Dotykanie świata* (2016) oraz blisko dwustustronicowy tom wierszy nowych *Nanizując paciorki słów. Z notacji ostatnich* (2018). *Delta czasu* to szósty z kolei tom eseistycznej prozy, w której sędziwy pisarz podejmuje interesującą próbę odzyskiwania bogatej, obfitującej w *zbliżenia i kontakty* przeszłości.

> Jesteśmy – pisze w Przedsłowiu autor – świadkami zmierzchu głośnej emigracji wojennej. Wymierają ostatni jej przedstawiciele i wnet cała nasza wiedza na temat tego niezwykłego zjawiska politycznego i kulturalnego będzie pochodzić z drugiej ręki, od ludzi, którzy tej formacji i jej protagonistów nie znali. Wprawdzie pozostała ich twórczość i posiadamy wiele dokumentów dotyczących wybitnych emigrantów i ich współczesnych, ale nigdy nie za wiele jest opowieści i zapisków świadków.

Florian Śmieja jest świadkiem z wielu względów atrakcyjnym i wiarygodnym. W młodości współtworzył fenomen, jakim była

londyńska grupa „Kontynentów”, skupiająca pisarzy, których nazwiska w sposób trwały zapisały się w dziejach polskiej literaury współczesnej. Przede wszystkim poeta, ale także redaktor i współpracownik najważniejszych pism emigracyjnych („Wiadomości”, „Oficyny Poetów”, „Kultury”, macierzystych „Kontynentów”), płodny publicysta, kronikarz ważnych wydarzeń kulturalnych polskiej diaspory, pracownik uniwersytecki i pełen pasji poznawczej globtroter otwarty na nowe kultury i kolekcjonujący spotkania z ich ważnymi reprezentantami.

Bohaterów swej najnowszej książki – przede wszystkim ludzi pióra, choć nie tylko – profesor Śmieja poznał w Anglii, Francji, Niemczech, Hiszpanii, Meksyku, Kolumbii, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli, Kanadzie i Polsce. Aby się spotkać z wieloma spośród nich organizował wnikliwie przygotowane wyprawy badawcze, przebywał imponujące przestrzenie podążając śladami bohaterów ich książek, a raz nawiązane kontakty pielęgnował wytrwałą, wieloletnią korespondencją, której pokaźne tomy trafiły niedawno do archiwum Instytutu Literatury Polskiej Uniwersytetu Rzeszowskiego.

Delta czasu nie przynosi wyczerpujących opisów monograficznych, jest raczej zbiorem lekkich, utrzymanych w konwencji felietonowej, żywo napisanych i miejscami błyskotliwych zapisków o twórcach, instytucjach i zdarzeniach, w różnym stopniu wpisanych w intelektualną i literacką biografię

autora. W zależności od stopnia zażyłości i intensywności kontaktów (od ulotnych, okazyjnych spotkań po kilkudziesięcioletnie przyjaźnie) zapiski te są bardziej obszerne lub zgoła fragmentaryczne, lecz zawsze dla czytelnika, zwłaszcza krajowego, niezwykle zajmujące. Autor pisze często o sprawach mało znanych, poprzez interesująco, niekiedy dowcipnie uchwycony szczegół: gest, słowo, celną anegdotę – przywracający głośnym postaciom kultury ich naturalny, chciałoby się rzec: ludzki wymiar. Z troską pochyla się nad dorobkiem piszących, którzy z różnych powodów nie znaleźli się w głównym nurcie zainteresowań badaczy polskiej literatury na obczyźnie (Wojciech Gniatczyński, Piotr Guzy, Beniamin Józef Jenne, Zygmunt Ławrynowicz, Wacław Liebert). Przedstawia w zwięzłej, lecz nasyconej faktografią formie zasłużone dla kultury polskiej instytucje emigracyjne (Polski Uniwersytet na Obczyźnie z jego znakomitą kadrą profesorską: Władysławem Folkierskim, Stanisławem Kościałkowskim, Stanisławem Kotem, Marianem Kukielem, Stanisławem Swianiewiczem, Władysławem Wielhorskim, londyński ośrodek wydawniczy Veritas, Oficynę Poetów i Malarzy Czesława i Krystyny Bednarczyków, Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie, Fundację Turzańskich, Archiwum i Muzeum im. płk. Bolesłwa Orlińskiego). Większość z przekazywanych czytelnikom wrażeń, opinii, fragmentów listów i cytowanych wypowiedzi dotyczy ludzi, instytucji i zdarzeń znanych autorówi z autopsji. Pisarz staje się tym samym (nie stroniącym wprawdzie od subiektywizmu) kronikarzem, który

daje nam relacje z pierwszej ręki.

Na kartach *Delty* pojawia się kilkaset znakomitych nazwisk polskich i obcych – pisarzy, muzyków, uczonych, dziennikarzy, polityków, animatorów życia kulturalnego, w tym wybitnych postaci polskiej diaspory, które już za życia obrosły legendą. Wymieńmy małą próbkę w porządku alfabetycznym: Gustaw Arango, Bogumił Andrzejewski, Stanisław Barańczak, Jan Bielatowicz, Danuta Irena Bieńkowska, Zofia Bohdanowiczowa, Renata Bogdańska, Jan Brzękowski, Roy Campbell, Camilo Jose Cela, sir George Clutton – pierwszy ambasador Wielkiej Brytanii, który pobierał z sukcesem nauki polskiego u autora *Delty*, Marian Czuchnowski, Maria Danilewicz-Zielińska, Jan Darowski, Karl Dedecius – autor pierwszej antologii poezji polskiej, w której Florian Śmieja miał niebagatelny udział, Louis Dudek, Józef Garliński, Jerzy Giedroyc, Mieczysław Grydzewski, gen. Józef Haller, Marian Hemar, Benedykt Heydenkorn, Wacław Iwaniuk, Aleksander Janta-Połczyński, Tymoteusz Karpowicz, ks. Tadeusz Kirsche – kapelan Radia Wolna Europa, Józef Kisielewski – autor głośnej książki o słowiańskości wschodnich Niemiec *Ziemia gromadzi prochy*, Leszek Kołakowski, Jan Kowalik, Jan Leszcza (wł. Wiktor Londzin), Józef Łobodowski, Paweł Łysek, Jan Nowak, Zygmunt Nowakowski, Michael Ondaatje, Marian Pankowski, Jerzy Pierkiewicz, Aleksandra Piłsudska, Leopold Pobóg-Kielanowski, ks. Zdzisław Peszkowski, Elena Poniatowska, Juliusz Poniatowski, Alexander Porker, Robert D. F. Pring-Mill,

Al Purdy, Bronisław Przyłuski, Czesław Straszewicz, Tadeusz Sułkowski, Tymon Terlecki, Wiktor Wientraub, Kazimierz Wierzyński, Edward M. Wilson, Józef Wittlin, Olga Żeromska.

Jestem przekonany, że nawet wytrawni czytelnicy eseistycznych publikacji „Odry" z niektórymi z tych nazwisk mogą mieć pewne problemy, by usytuować je we właściwym dla nich obszarze artystycznej i intelektualnej aktywności. Nie może to dziwić, gdyż reprezentowane przez bohaterów książki spektrum zainteresowań, specjalności, talentów, dokonań i miejsc w sensie geograficznym jest prawdziwie imponujące.

Spędziwszy zdecydowaną większość życia na obczyźnie, Florian Śmieja nie zaniechał kontaktów z Polską. Bywał w niej także w okresie, w którym było to na emigracji niezwykle źle widziane. Jako pisarz miał świadomość, że kontaktów tych zerwać nie może. W wędrującej z nim po świecie – imponującej – domowej bibliotece znalazły się najważniejsze tomy polskiej poezji i prac krytycznoliterackich, roczniki periodyków, leksykony, obfita korespondencja z polskimi twórcami.

Podobnie jak w przypadku znamienitych postaci polskiej i światowej kultury, z którymi autor *Delty* zetknął się na obczyźnie, długa jest lista wybitnych przedstawicieli polskiego życia literacko-artystycznego i politycznego w kraju. Nie sposób przytoczyć w tym omówieniu nawet części ich nazwisk,

ograniczmy się tedy do najbardziej charaktersytycznych przykładów. Tworzą je m. in. Beata Baczyńska, Jan Błoński, Ludwik Flaszen, Jan Goczoł, Jerzy Grotowski, Henryk Mikołaj Górecki, Zbigniew Herbert, Tadeusz Kijonka, Andrzej Kijowski, Stefan Kisielewski, Zygmunt Kubiak, Kazimierz Kutz, Stanisław Jerzy Lec, Adam Michnik, Wilhelm Szewczyk, Józef Musiał, Tadeusz Różewicz, Wojciech Siemion, Piotr Sawicki, Janusz Szuber, Jerzy Turowicz, ks. Jan Twardowski, Jerzy Zawieyski,

Walorem *Delty* jest nie tylko różnorodność i obfitość postaci, instytucji i zdarzeń, lecz przede wszystkim sposób, w jaki autor o nich pisze. Jak wspomniałem wcześniej, Florian Śmieja jest świadkiem (i uczestnikiem), który nie stara się być za wszelką cenę obiektywnym. Choć w porównaniu z wcześniejszymi tomami swoich wspomnień, w *Delcie* powściąga swoje emocje, nie waha się przed subiektywną oceną zachowań, tekstów i decyzji swoich przyjaciół z „Kontynentów" (np. Czaykowskiego, którego na krótko przed śmiercią odwiedzi w Vancouver, odnotowując *Ziemioskłon*, ostatni tom tego wybitnego poety, z należną mu uwagą i życzliwością). Nie skrywa pod suknem kierowanych w swoim czasie pod adresem „młodych gniewnych" i ich pisma krytycznych uwag Jana Bielatowicza, ani też jego opinii na temat konstatacji krytycznych Marii Danilewicz-Zielińskiej, z którą nawiasem mówiąc łączyła autora *Delty* wieloletnia serdeczna i zażyła przyjaźń. Przypomina prowadzone przez siebie spory, m. in. z autorem niniejszego omówienia, z którym wadził się

przed laty na łamach pism krajowych i emigracyjnych, krytycznie wypowiada się na temat – świetnej w moim przeświadczeniu – antologii polskiej poezji na obczyźnie Bogdana Czaykowskiego. Nade wszystko jednak relacjonuje swoje spotkania i intelektualne przygody z twórcami – ludźmi wielu kultur, których poznawał, najczęściej z własnej inicjatywy redaktora, pisarza i badacza.

Warto zatrzymać – na przykład – oko na fragmentach, w których autor *Delty* wspomina swe spotkania z recenzentem jego pracy doktorskiej prof. Robertem D. F. Pring-Mille'em, przyjacielem Polski, który chciał zrezygnować z angielskiej armii po tym, jak rząd Jego Królewskiej Mości uznał Komitet Lubelski, co wybitny szkocki uczony uznał za jawną zdradę ze strony aliantów. Na uwagę zasługują refleksje na temat postaci i twórczości jednego z czołowych poetów kanadyjskich – Alfreda Wellingtona Purdy'ego, podobnie jak ciepłe wspomnienie o interesującej, tragicznie zmarłej poetce Danucie Irenie Bieńkowskiej, czy o ks. Janie Twardowskim, który, choć opuścił przed laty ten najlepszy ze światów, zdaje się, jako w pełni osobny poeta, święcić coraz większe sukcesy.

Jedno ze słownikowych haseł delty mówi, że jest to *równinny obszar u ujścia rzeki*. Obszar życiodajny, bo stwarzający optymalne warunki dla ludzkiej egzystencji. *Delta czasu* byłaby zatem (i jest) metaforą owocnego, spełnionego, nasyconego

soczystym miąższem zdarzeń i kontaktów życia.

> Chciałbym – pisze w zakończeniu swego tomu 93-letni autor – mieć nadzieję, że i ta „krucha książeczka”, zawierająca moje zapiski czynione zazwyczaj o świcie, utrwali i przechowa „ślady światła”, jakimi były dla mnie spotkania z frapującymi ludźmi i ich dokonaniami, a także z przejawami innych kultur, do których poznawania skłaniała mnie – wrodzona i zrozumiała najpierw u malca z prowincji, a później wieloletniego emigranta – ciekawość świata.

Utrwali i przechowa z pewnością.

Florian Śmieja: *Delta czasu*, Biblioteka Śląska, Katowice 2018, s. 202.

Artykuł ukazał się w „Odrze” 2019, nr 5.

Odeszli animatorzy życia kulturalnego z Toronto – Irena Harasimowicz-Zarzecka i Krzysztof Zarzecki.

Wieczór autorski poświęcony Helenie Modrzejewskiej w Konsulacie Rzeczpospolitej Polskiej w Toronto, grudzień 2009 r. Od prawej: Irena Harasimowcz-Zarzecka, prof. Florian Śmieja, Jacek Gwizdka, Joanna Sokołowska-Gwizdka podpisująca swoją książkę, Margot Kukulska-Rumian.

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Irena Harasimowicz-Zarzecka i Krzysztof Zarzecki byli znani w polskim środowisku każdemu, kto interesował się kulturą i literaturą. Bywali na spotkaniach autorskch, koncertach, można było z nimi toczyć niekończące się rozmowy. Cudowni ludzie, twórczy, mający wspaniałą przeszłość. Krzysztof Zarzecki był pierwszą osobą ze środowiska kulturotwórczego Toronto, którą poznałam po przyjeździe na emigrację w 2001 r. Spotkaliśmy się

w kawiarni sieci Chapters. Ten znakomity tłumacz był wówczas wiceprezesem Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie. Ja zostawiłam ciekawą pracę historyka literatury polskiej na Uniwersytecie Łódzkim i szukałam kontaktów z ludźmi, którzy byliby mi bliscy zwodowo. Długo rozmawialiśmy, o tekście mojej książki na temat rodziny Tyszkiewiczów, o pisaniu, warsztacie twórczym. Dostałam wiele cennych rad. A na koniec otrzymałam propozycję korzystania z dużej biblioteki Państwa Zarzeckich i książek dotyczących literatury w języku polskim. Wtedy było to dla mnie, jak zapowiedź normalnego życia na emigracji. Biblioteka byłą nieodzownym narzędziem pracy, a przecież nie mogłam przewieźć na raz wszystkich moich książek. – Bibliotekę gromadzi się długo – mówił Krzysztof Zarzecki – my przez lata uzbieraliśmy dużo książek.

Irena Harasimowicz-Zarzycka byłą uroczą panią, która było widać i słychać. Można było z nią godzinami rozmawiać i tematy się nie kończyły. – Musicie do nas wpaść – mówiła ilekroć się spotykaliśmy na imprezach kuturalnych – to dokończymy rozmowę. I ciepło dotykała dłoni, na znak przyjaźni.

Państwo Zarzeccy zdecydowali się na powrót do Polski w 2014 r. Ich odejście to duża strata dla polskiej kultury.

***

Irena Harasimowicz-Zarzecka

Irena Harasimowicz-Zarzecka, Konstancin 2016 r., fot. Hanna Haska.

Tłumaczka, eseistka, redaktor. Zmarła 28 kwietnia 2019 r. Została pochowana na Warszawskich Powązkach, w grobie rodzinnym Zarzeckich.

Córka prawników, wnuczka rzeźbiarza i pedagoga Piotra Harasimowicza (1857-1914), który wraz z bratem Marcelim (1859-1935), malarzem i kustoszem, należał do grona organizatorów szkolnictwa artystycznego, Galerii Narodowej i Związku Artystów Plastyków we Lwowie. Ukończyła studia i uzyskała w 1963 stopień doktora filologii rumuńskiej na uniwersytecie w Bukareszcie, na podstawie rozprawy o prozie rumuńskiej poświęconej tragedii tzw. zagubionego pokolenia intelektualistów uczestników pierwszej wojny światowej.

W 1964 roku przebywała w Londynie u ojca, który jako były oficer wywiadu AK nie mógł powrócić do Polski i był zatrudniony w Instytucie Sikorskiego oraz w Lozannie, gdzie studiowała w École Benedict. W latach 1965-67 pracowała w Dziale Prasowym, a później była szefem Protokołu Polskiej Akademii Nauk. W latach 1968-87 redaktorka, specjalistka do spraw literatury rumuńskiej w Państwowym Instytucie Wydawniczym. Tłumaczka języka rumuńskiego na wielu kongresach i konferencjach naukowych, literackich i artystycznych. Członek Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Od 1987 roku dzieliła czas między Toronto a Warszawę. Przełożyła na rumuński m. in. wiersze Tadeusza Różewicza (wydane z przedmową Ştefana Augustina Doinaşa), Wisławy Szymborskiej i Zbigniewa Herberta. Przełożyła z

rumuńskiego m. in. wiersze Marina Sorescu „Punkt widzenia” (PIW 1970); tom aforystycznych powiastek filozoficznych Mateia Călinescu „Życie i opinie Zachariasza Lichtera” (PIW 1972); powieść Dany Dumitriu „Biesiada lichwiarza” (PIW 1975); powieść Mircea Eliadego Majtreyi, poprzedzoną esejem o jego twórczości literackiej (Czytelnik 1988); sztuki Dumitru Salomona. Opracowała i opatrzyła wstępem antologię współczesnych opowiadań rumuńskich „Śmierć Ipu” (PIW 1971). Jest autorką Antologii poezji rumuńskiej, w której zaprezentowała we własnym wyborze i w znacznej części we własnych przekładach twórczość 77 poetów okresu lat 1939-80, poprzedzając swój wybór obszernym esejem o poezji rumuńskiej dwudziestego wieku i opatrując go (we współpracy z mężem Krzysztofem Zarzeckim) wyczerpującymi notami o autorach (PIW 1989). O tomie tym pisał Jerzy Lisowski, redaktor naczelny „Twórczości“ i autor trzytomowej „Antologii poezji francuskiej”:

> To naprawdę znakomita antologia, duża porcja wspaniałej i nowej, innej, zaskakującej poezji.

Zygmunt Kubiak, znakomity eseista i tłumacz, podnosząc „mistrzostwo przekładów“ Ireny Harasimowicz oraz jej „rolę głównej ambasadorki kultury polskiej w Rumunii i rumuńskiej w Polsce“, orzekł, że jej

> Antologia poezji rumuńskiej to jedna z naszych najważniejszych książek poetyckich.

Obok nagrody Fundacji Turzańskich (1993-1994), Irena Harasimowicz została uhonorowana jeszcze dwukrotnie: w 1990 nagrodą Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich przyznaną jednogłośnie przez jury pod przewodnictwem tegoż Zygmunta Kubiaka, które uznało jej Antologię za najlepszy przekład poetycki roku; oraz w 1999 nagrodą Stowarzyszenia Autorów ZAIKS za całokształt twórczości przekładowej. Autorka esejów m.in. o poezji Wisławy Szymborskiej, tekstu napisanego po przyznaniu jej nagrody Nobla; o obrazach nagradzanej na trzech kontynentach, wspaniałej malarki, do niedawna zamieszkałej w Toronto, Hanny Haski; oraz o poezji i prozie rumuńskiej pisarki i tłumaczki Flavii Cosmy, również mieszkanki Toronto.

Krzysztof Zarzecki, 31.05.2015

Krzysztof Zarzecki

Krzysztof Zarzecki, Obory 2016 r., fot. Hanna Haska.

Tłumacz, redaktor, wydawca. Zmarł 17 lipca 2019 r. Został pochowany na Warszawskich Powązkach, w grobie rodzinnym Zarzeckich.

Ur. 31 maja 1926 roku w Warszawie. Żołnierz AK, uczestnik powstania warszawskiego w batalionie Baszta na Mokotowie, jeniec niemieckiego stalagu XB (Sandbostel). Maturę zdał na tajnych kompletach w Warszawie, po wojnie studiował

germanistykę na Friedrich Wilhelms Universität w Bonn oraz polonistykę i anglistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Redaktor w „Czytelniku“ (1952-55), kierownik Redakcji Przekładów w „Iskrach“ (1955-63), kierownik Redakcji Anglosaskiej w Państwowym Instytucie Wydawniczym (1976-87). W latach 1963-65 stypendysta Fundacji Kościuszkowskiej, uczestnik Studium Pisarskiego (Writers‘ Workshop) Uniwersytetu Stanu Iowa. W latach 1965-76 lektor amerykańskiej angielszczyzny w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki. Członek ZLP od 1963 roku do jego rozwiązania, w 1983 r. pełnił w nim m. in. funkcje wiceprzewodniczącego Klubu Tłumaczy oraz sekretarza Sądu Koleżeńskiego Oddziału Warszawskiego. Członek Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich (1985-87 przewodniczący Sekcji Tłumaczy Literatury) i Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wiceprezes Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie.

W Toronto od 1987. Przełożył ponad trzydzieści pozycji z literatur anglosaskich, m. in. „Którzy upadają” Samuela Becketta, trylogię „USA” Johna Dos Passosa, „Sługę bożego” i „Ziemię tragiczną” Erskine’a Caldwella, „9 opowiadań” J. D. Salingera (wespół z Agnieszką Glinczanką), „Zatrzaśnij ostatnie drzwi”, „Muzykę dla kameleonów” i „Tamtą Gwiazdkę” Trumana Capote, „Noc Iguany” Tennessee Williamsa, „Papierowego człowieka” Dashiella Hammetta, „Człowieka pogrzebanego” i „Lewe pieniądze” Rossa MacDonalda, „To, co najważniejsze”

Avery'ego Cormana, „Kronikę rytą w kamieniu" i „Przyjęcie u Larry'ego" Carol Shields, „Miłość" Toni Morrison, „Klarę Callan" i „Cudzołóstwo" Richarda B. Wrighta, wiersze Irvinga Laytona oraz kilkunastu poetów rumuńskich w „Antologii poezji rumuńskiej" Ireny Harasimowicz-Zarzeckiej, sztuki dramaturgów kanadyjskich Carol Shields, Dave'a Carleya i Kristen Thomson. Autor trzech antologii: „26 współczesnych opowiadań amerykańskich" (wespół z Maximem Lieberem, 1963, 1973), „32 współczesne opowiadania amerykańskie" (1973) i „Opowiadania z Dzikiego Zachodu" (1974). Jego przeklad „Ciężkich pieniędzy", trzeciego tomu trylogii „USA" Johna Dos Passosa, został nagrodzony przez Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich jako najlepsze tłumaczenie roku 1990. Laureat nagrody Stowarzyszenia Autorów ZAIKS za całokształt dorobku przekładowego (1995) i Fundacji Wadysława i Nelli-Turzańskich (1993-1994). Wydawca polskich przekładów kilkudziesięciu tytułów najwybitniejszych pisarzy anglosaskich, od Szekspira i dramaturgów elżbietańskich, poprzez Jane Austen, Josepha Conrada i Jamesa Joyce'a, po Samuela Becketta, Patricka White'a i Josepha Hellera.

Materiał otrzymany dzięki uprzejmości pani Hanny Haski.

Opowiadanie Ewy Stachniak „Spacer nad Credit River” w tłumaczeniu Krzysztofa Zarzeckiego:

https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-1/

https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-2/

Spacer nad Credit River. Część 2.

Ewa Stachniak *(Toronto)*

Tłumaczenie: Krzysztof Zarzecki

Fot. Jacek Gwizdka.

Schodząc z naszego domu do Credit River trzeba przejść koło małego jeziorka. Gdyśmy się tu wprowadzali, jeziorko było dwa razy większe, ale z każdym rokiem pomniejsza je gromadzący się u brzegów muł i z upływem czasu brzegi zarosła kwiecista fioletowa krwawnica, tłamsząc inną wegetację. Jednakże kiedy szłyśmy tamtędy z mamą owego lipca, widziało się jeszcze kwiaty dzikiej marchwi i nawłoci, a między nimi tylko niewielkie wysepki fioletu.

Ojciec umarł przed siedmioma miesiącami i niepokoiłam się wciąż o mamę. Sprawiała czasami wrażenie zagubionej, jakby mózg jej się kurczył i obluzowywał, niczym orzech wysychający

w łupinie. Przez większość czasu nie dostrzegało się nic, aż nagle jakaś drobna rzecz wprawiała ją w panikę, na przykład niemożność przypomnienia sobie, gdzie zostawiła okulary. Mogła z tobą rozmawiać i raptem się zrywała, biegła do swojego pokoju, sprawdzić, czy ma w torebce okulary albo gdzie schowała klucze do swego warszawskiego mieszkania. Zdarzało jej się to dwa, trzy razy w ciągu godziny, tak jakby żadna z poprzednich kontroli nie była wystarczająca.

Mama szła szybko, tuż koło mego boku. Kącikiem oka widziałam jej lekko zgiętą postać, rwącą do przodu. Raptem się zatrzymała, żeby zrobić głęboki wdech, jakby pijąc powietrze, łykając każdy jego haust i wydychając go z długim westchnieniem. Linie na jej policzkach się pogłębiły. Schudła, dłonie zrobiły jej się kościste, ostre. Rano spała długo, śniadania przygotowywałam jej obfite, z zupą mleczną, wędliną, jajecznicą. Myłam i krajałam rzodkiewki, paprykę, dymkę. Jadła zachłannie, po czym upierała się przy ręcznym zmywaniu, żeby nie zużywać zbyt wiele wody.

– Jak tu spokojnie – mówiła – tak cicho.

Uważałam, że to dobry znak, że wszystko jeszcze przed nami.

Pogrzeb, o którym mama mówiła, nie był to pogrzeb ojca. Miała na myśli pogrzeb swego starszego brata, Tadka, który umarł w 1955 roku. Miał trzydzieści cztery lata i zginął w wypadku

motocyklowym. Nikt wówczas nie nosił kasków; było mokro; usiłował wyminąć rowerzystę. Jego pasażer i rowerzysta wyszli z wypadku bez szwanku, Tadek żył jeszcze tylko kilka godzin.

– Umarł nie odzyskawszy przytomności – powiedziała mama.

Pamiętam wujka mętnie i tylko dlatego, że mi go przypominano. Kiedy umarł miałam trzy lata. “Nie pamiętasz? – dziwiła się babcia załamującym głosem.- Nie pamiętasz, jak cię lubił? Nazywał cię K ę d z i o r e k” – i wkrótce zaczynało mi się wydawać, że go pamiętam. Gdzieś wśród papierów mam do dziś czarno-białą fotografię wujka Tadka w trumnie, w czarnym garniturze, z twarzą na zdjęciu nieostrą, lecz surową. Przez jego prawą skroń przebiega cienka, popszarpana linia, blizna.

Byłyśmy nad morzem, gdy to się wydarzyło. Na wakacjach. Rano kopałam dołki w miękkim, mokrym piasku na skraju plaży, okładałam je muszlami i czekałam, aż fale Bałtyku wypełnią je słoną wodą. Po południu siedziałam w zatłoczonym pociągu, między mamą a babcią, obiema z bladymi twarzami, trzęsącymi się rękami. Na wszystkie pytania słyszałam upomnienia, żebym, na miłość Boską, cicho siedziała. Wiele lat później mama mi powiedziała, że nie wiedziały wówczas, co się właściwie stało. Kiedyśmy przyszły z plaży, czekał na nas w domu telegram od dziadka: “Syn nie żyje stop wracajcie natychmaist stop”.

W roku śmierci Tadka na naszej ulicy straszyły jeszcze ruiny, wielkie kupy gruzu, porosłe trawą, łopianem, kępkami kłujących ostów. Po zakończeniu wojny ojciec wygrzebał spośród ruin dwa skórzane fotele, białe żelazne łóżko, dębowe biurko, parę pogiętych garnków. Pokleił nóżki foteli, wyprostował garnki, w okna wprawił grube metalowe pręty.

– Byłaś wtedy takim grzecznym dzieckiem – mówiła mama. – Potrafiłaś się godzinami bawić sama. Nigdy się nie dąsałaś ani nie płakałaś. – Przypominała, jak siedziałam przeglądając grube białe kartki przedwojennej encyklopedii, która stała na półce; szczególnie interesowały mnie plansze przedstawiające części ciała ludzkiego, każda chroniona cienką mleczną bibułką. – Mogłaś się w nie wpatrywać bez końca – ciągnęła mama, a ja zachodziłam w głowę, co mogło mnie w nich tak fascynować. Zwoje mięśni, żył i arterii czy też surowa prostota kośćca? – Przez jakiś czas myślałam, że zostaniesz lekarką – powiedziała mama z nutką rozczarowania w głosie, którą starała się stłumić. – Mniejsza o to – zakończyła i machnęła ręką.

Wszystko, co pamiętam z tego okresu, to babcię z nabiegłymi krwią oczyma, wargami zaciśniętymi w grymas bólu, śladami zębów na kostkach dłoni. Chodziła w czarnej sukni i czarnych pończochach, wychodząc nakładała czarny kapelusz z woalką. Wieczorami przesiadywała w mroczniejącej kuchni, wolno obracając pierścionki na palcach. Potrafiła tak siedzieć

godzinami, wpatrzona w szarzejące okno, szkielet domu naprzeciwko, z kikutami ścian i pustymi ramami okien. Kiedy zapalałam światło, mierzyła mnie takim wzrokiem, jakby ujrzała ducha.

– Wypłakiwałam sobie oczy po śmierci Tadka – powiedziała mama. – Teraz już nie potrafię płakać. Nawet po moim mężu.

Z warg ocierałam jeszcze ze wstrętem lepkie nitki przędzy, chociaż wyszłyśmy już na otwartą przestrzeń nad rzeką, gdzie już ich nie było.

– Tak ci powiedziała? – zapytałam. – Babcia ci tak powiedziała?

Czułam wzbierający gniew, który mi podchodził pod gardło.

– Tak – odparła mama. – Zaraz po pogrzebie powiedziała: “Wolałabym, żebyś to ty zginęła zamiast niego”.

– A coś ty jej odpowiedziała? – spytałam.

– Nic – odrzekła mama przyśpieszając kroku.

Na policzki i szyję wystąpiły jej plamy, czerwone, nabiegłe krwią. Kiedy się z nią zrównałam, nie patrzyła na mnie, jej oczy biegały na boki, na drzewa, na rzekę. Wszędzie, tylko nie na moją twarz.

Ale ja nie miałam zamiaru ustąpić.

– Dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Kochała go bardziej – wyznała wtedy. – Był jej synem. – Ważyła każde słowo wypowiadając je, jakby nim zdumiona, ogłuszona. – Tego nie można odmienić.

***

Kiedyś próbowałam opowiedzieć Patrickowi o moim pierwszym dniu w Kanadzie. Leżeliśmy w łóżku, przywarci do siebie, zlani potem, nasze serca dudniły krwią. Przebiegałam palcami po włosach na jego piersi, robiłam w nich małe korytarzyki, potem je wygładzałam. Łóżko było skotłowane, skrzypiało lekko za każdym naszym poruszeniem. Zrobiłam głęboki wdech, usiadłam, z poduszką pod plecami, i powiedziałam mu, jak wszystko w Kanadzie, nawet śmieci w pojemnikach, wydawało mi się niewiarygodnie kolorowe i jak się włóczyłam godzinami po ulicach, gapiąc się na wystawy, chora z zazdrości.

– To wspaniałe! – pochwalił ze śmiechem, tak jakbym powiedziała coś szczególnie inteligentnego, utrafiła w jakieś sedno, o którym nie miałam pojęcia. – Tak być powinno!

Twarz Patricka wyglądała śmiesznie na łóżku, odwrócona, z

uśmiechem zakrzywionym w dół, oczami przymkniętymi od góry. Przesunęłam palcami po jego wargach, pociągnęłam go za wąsy, a on chłapnął zębami, ale nie dość szybko, żeby złapać moje palce. Roześmiał się. Śmieliśmy się oboje. Potem się obrócił, pociągnął mnie za nogi, tak że zjechałam z poduszki, wylądowałam obok niego i czekałam, aż rozsunie mi językiem zęby. Ramiona miał silne, gładkie, pachnące mydłem.

Opowiadania Patricka nie płynęły gładko. “Nie mam gadanego” – mawiał i ustawał akurat w miejscu, gdzie jego opowieść zaczynała się stawać ciekawa. Zrobiłam się mistrzem delikatnych ponagleń, słów obracających się w pieszczotę.

Patrick miał osiemnaście lat, kiedy komisja poborowa w San Francisco wezwała go na badania lekarskie. “Jak człowiek przeszedł, to był ugotowany!” – oświadczył unosząc lekko podbródek, wygładzając wierzchem dłoni rudawą bródkę. Opowiedział mi o wezwanych, którzy zażywali proszki na pobudzenie tarczycy, objadali się cukrem i symulowali cukrzyków. Opowiedział o pewnym facecie, który się przebrał za kobietę i rzucił do całowania sierżanta z komisji. Próbowałam sobie wyobrazić Patricka jako amerykańskiego hippisa w rozkloszowanych spodniach, etaminowym wdzianku, ze skórzanym naszyjnikiem z paciorków i białych kłów, kroczącego w marszu protestacyjnym.

Kiedy otrzymał powołanie, ojciec dał mu samochód, wręczył dwadzieścia tysięcy dolarów i kazał uciekać na północ. Wyobraziłam sobie, jak jedzie swoim żółtym Volkswagenem garbusem do Kanady, z długimi włosami, z czerwoną chustą na szyi. Wizę stałego pobytu otrzymał od razu na granicy. Jadąc ściskał kierownicę tak mocno, że go jeszcze długo potem bolały dłonie, ale nie uważał, że zdradza swoją ojczyznę.

“Nie chcę wracać do kraju w trumnie – rozumował. – Nie będę umierał za imperialistycznego molocha ani palił jakichś pieprzonych nędzarzy napalmem”.

Był wówczas marksistą. W pokoju miał afisz z podobizną Mao, palił haszysz i podziwiał chińską Czerwoną Gwardię.

– Czerwoną Gwardię? – zapytałam. – Podziwiałeś Czerwoną Gwardię?

– Uważałem, że świat trzeba zmieniać… – zaczął i urwał.

– Przez zabijanie nauczycieli, zsyłanie ludzi na reedukację do obozów pracy? – zapytałam wciąż nie dowierzając własnym uszom.

W Polsce wiedzieliśmy, że jest nam źle, ale nawet w najgorszych okresach, kiedy w sklepach był tylko ocet i groszek w puszkach,

nigdy nie zamienilibyśmy się z Chińczykami.

– W tamtych czasach bym ci powiedział, że gwardia narodowa strzela do protestujących studentów na unwersytecie w Kent.

– A teraz? – zapytałam.

– Teraz bym powiedział, że byłem idiotą, zaślepionym idiotą – odparł, a ja czułam jedynie, jak jego język sunie po mojej szyi, pozostawiając wilgotny ślad.

Patrick był uprzednio żonaty i ma dwie córki, Daisy i Heather, dziewiętnasto- i szesnastoletnią. Daisy została właśnie przyjęta na Uniwersytet Trent, ale odmówiła uczęszczania na jakiekolwiek kursy biznesowe. Postanowiła zamiast tego iść na studium zagadnień kobiecych. Gdyby miał ponownie dzieci, mówił Patrick, wychowałby je w żelaznej dyscyplinie, posyłał do najlepszych prywatnych szkół w kraju. Nigdy więcej tych permisywnych psychedelicznych pierdołów, którym tak długo hołdował.

Czemu, zapytałam go kiedyś, gdy właśnie od nich wrócił i chodził tam i z powrotem po pokoju, zatrzymując się tylko, żeby wyjrzeć przez okno. Działało mi na nerwy to jego wyglądanie, jakby oczekiwał czyjegoś nadejścia, nadejścia osoby, której nawet nie znam.

– Żeby im dać szansę w życiu – odparł. Usiadł wreszcie, wyciągnął nogi na tapczanie. – Żeby nie były takimi ofiarami. Umiały się bronić. Świat się kurczy, a one marnują czas.

Na skarpetach miał drobne supełki zmechacenia, zanotowałam sobie w pamięci, żeby je wyrzucić.

– To moja wina – powiedział uderzając pięścią w dłoń, co też już nie raz widziałam. -Powinienem je był trzymać twardą ręką.

Westchnęłam i wyszłam do kuchni, kończyć obiad. Patrick przyszedł za mną. Był zawsze taki po widzeniu z córkami, drażliwy, poirytowany. Zdumiewało mnie nieodmiennie, jak jawnie maluje się to na jego twarzy, jak zwęża i zagina się jego górna warga, jak ściągają i rozszerzają się tuż pod skórą naczyńka krwionośne.

Ułamał kawałek bagietki, którą właśnie przyniosłam ze sklepu. Była jeczcze ciepła, okruszki sypały się po całej podłodze. Jadł za dużo, pod białą koszulą widziałam jego zaokrąglający się brzuszek. Kotlety były gotowe, wszystko, co mi pozostało, to rozetrzeć kartofle na purée w mikserze. Kiedy skończyłam, Patrick starł palcem z jej krawędzi puszystą białą masę i oblizał palec do czysta.

***

Erindale Park stanowił tego lata schronienie przed falą upałów; dało się tu wciąż swobodnie oddychać, spacerować nie zalewając się potem. Po rzece brodzili rybacy w długich zielonych gumiakach. Łowili teraz pstrągi. Na jesieni mieli wyciągać wielkie zielonkawe łososie, które płynęły pod prąd składać ikrę. Pod koniec października brzeg będzie usłany ich gnijącymi zewłokami, odciętymi łbami o rozdziawionych szczękach i wyłupiastych, martwo ślepiących oczach.

Mam wiele fotografii babci. W młodości była elegancką kobietą. Na jednym ze zdjęć siedzi na ławce, z nogą na nodze, z dłońmi splecionymi na kolanie. W tle landszaft z drzewem i rzymskimi ruinami, kolumną przeciętą w połowie, zakrzywionym portalem u dołu. W latach 1930 taka sceneria uważana była widać za romantyczną. Twarz babci okalają ciemne loki, jej oczy były już wówczas puste, melancholijne, zranione. Na rok przed śmiercią obcięła krótko włosy, zaczęła nosić długie kalesony, spodnie, pantofle na płaskim obcasie. W ciężkim, podbitym futrem palcie wyglądała jak żołnierz maruder.

W sercu nosiłam gniew na babcię. Miałam jej za złe wiele rzeczy. Szepty w kuchni, sposób, w jaki mi wykręcała rękę.

– Miejsce matki jest w domu, a nie w tym jej i n s t y t u c i e. – Wymawiała to słowo jak obelgę, ostro, z naganą, głośniej niż inne. – Zadzwoń do niej – żądała – zobaczymy, czy rzeczywiście

tam jest.

– Dlaczego?

– Dzwoń. Rób, co mówię! – syczała, a ja nakręcałam numer instytutu i prosiłam telefonistkę, żeby mnie połączyła z mamą.

– Co takiego? — Głos mamy był w pierwszej chwili zawsze wystraszony.—Stało się coś?

– Nie, nic takiego – mówiłam.

Widziałam ją, jak stoi w swojej małej pracowni z zapachem formaliny i kurzu, prawą dłonią trzymając się za to miejsce nad sercem.

– Zapytaj ją, kiedy wróci – przynaglała babcia trącając mnie łokciem.- Zapytaj własnej matki, kiedy wróci do domu, do rodziny.

– Kiedy wrócisz? – pytałam potulnie.

– Niedługo – odpowiadała mama, roztargniona teraz, pochłonięta już czym innym. Nasz telefon był czarny, słuchawka ciężka. Głos dobywał się z niej zniekształcony, jak z głębokiej, wąskiej studni. – Nie czekajcie na mnie z obiadem. Zaczynajcie jeść sami.

– Co powiedziała? – dopytywała się babcia. – Co powiedziała?

– Żeby na nią nie czekać z obiadem – odpowiadałam i uciekałam.

Ale nie mogłam nie słyszeć głębokich westchnień babci i zbyt głośnego brzęku talerzy, których omal nie rozbijała. Co do taty zaś, to zbywał milczeniem zatrute strzały, jakie wysyłała babcia.

– Miejsce żony jest w domu – obwieszczała przy stole – a rzeczą męża jest tego dopilnować.

Tata kiwał głową i podnosił do ust łyżkę z zupą.

– Wyśmienita zupa, mamo – mówił. – Co za smak.

– Robię, co mogę, ale są granice. W sklepach pustki – burczała babcia i przenosiła uwagę na mnie. – Nie mlaskaj. Siedź prosto. Łokcie ze stołu.

– Słuchaj babci – wtórował tato, a ja mu posyłałam wściekłe spojrzenie.

Kiedy mama wreszcie wracała, zjadała co babcia postawiła przed nią na talerzu, po czym ucinała swoją drzemkę. To jej sekret, powtarzała zawsze, ta jej zdolność zasypiania o każdej porze dnia, we wszystkich okolicznościach. Kiedy nadchodziła pora,

żeby ją obudzić, otrząsała się ze snu z trudem, jakby powracała z drugiego końca świata, twarz miała pomiętą i czerwoną, toczyła wzrokiem dokoła pokoju, próbując zrozumieć, gdzie jest i co to wszystko znaczy. Siadała, rozcierała twarz dłońmi, po czym szła do kuchni pomagać babci. Słyszałam znad odrabianych lekcji ich wznoszące się i opadające głosy. Długie monologi babci i krótkie przytakujące mruknięcia mamy.

– Zawsze jej przytakiwałaś – wypaliłam, kiedy mama się schyliła po jakiś odłamek skalny.

Przed zakrętem rzeki było odsłonięte zbocze skalne. Tablica ostrzegała: “Uwaga! Spadające kamienie!” Mama oddzieliła płaską warstwę łupka, przełamała ją w pół. Pokrywały ją długie linearne wzory.

– Nic szczególnego – powiedziała odsuwając łupek dalej od oczu. – Cefalopody i korale. – Kamień powrócił na usypisko. – Może nie powinnam ci była tego mówić – odezwała się po chwili. – Nie chciałabym, żebyś tak pamiętała babcię.

– A jaką chcesz, żebym ją pamiętała? – zapytałam głosem zbyt wysokim, zbyt napiętym, żeby tego nie usłyszała.

Mama się zatrzymała i stała, jak mi się wydawało, zbyt długą chwilę. Przestraszyłam się, że zapomniała, co mi ma powiedzieć,

ale się myliłam.

– Chcę, żebyś pamiętała, że bez jej pomocy nigdy bym sobie nie dała rady – powiedziała. -Nigdy bym nie była w stanie połączyć pracy i rodziny. Nigdy. – Po czym, ruszając do przodu, obróciła się do mnie i szepnęła: – A nigdy naprawdę nie pragnęłam niczego innego.

Nim doszłyśmy do zakrętu rzeki, mama zwolniła kroku, więc zaproponowałam, żebyśmy wracały. W domu mama ucięła sobie popołudniową drzemkę, a ja usiadłam w kuchni i oglądałam dziennik na małym telewizorku. Konflikt w miasteczku Oka się zaostrzył. Drogi do cmentarza Indian Mohawk w Kanestake zostały zablokowane, padły strzały. Na ekranie widziałam czołgi i żołnierzy w mundurach khaki ustawiających się w szyk bojowy. Potem kamera przesunęła się na grupkę Indian w koszulkach i dżinsach z obciętymi nogawkami, którzy bili w bębny i śpiewali.

– Koszt ogólny konfrontacji w Oka wyniesie wkrótce ponad dwieście milionów dolarów – powiedział później ktoś w wywiadzie telewizyjnym. – Przekracza to znacznie wartość rynkową terenów, do których Mohawkowie roszczą sobie pretensje, a które miasto chce przeznaczyć na tor golfowy.

Minęła może godzina, gdy mama wyłoniła się ze swego pokoju z wyrazem popłochu na twarzy.

– Znalazłam to w swoich rzeczach – oznajmiła wręczając mi czerwoną chustę. – Ty ją tam położyłaś?

– Dałam ci ją – odparłam. – Nie pamiętasz?

– A, rzeczywiście, dałaś – powiedziała trochę za szybko. Zmarszczyła czoło i zdawało mi się, że widzę w jej oczach łzy. – Jaka ja niemądra! Oczywiście, że mi dałaś!

Wieczorem byłyśmy obie w kuchni, przygotowując obiad. Ja właśnie zbiłam sześć kawałków wieprzowiny na kotlety, a mama wcierała czosnek i majeranek w różowe mięso, kiedy kącikiem oka dostrzegłam w ramie drzwi Patricka, rudawość jego brody i jego wysoką muskularną sylwetkę. Miał na sobie koszulkę i dżinsowe szorty, w jednej ręce trzymał trzy kieliszki, w drugiej butelkę merlota. Otworzył butelkę, nalał do swojego kieliszka odrobinę wina i przed spróbowaniem podniósł go do światła, podziwiając rubinową barwę trunku. Widziałam, jak kiwa kilkakrotnie głową z uznaniem, nim podniósł kieliszek do ust.

– O czym, panie, tak rozprawiacie przez cały dzień? – spytał.

Mama posłała mi pytające spojrzenie, więc jej przetłumaczyłam.

– O niczym, kochany – odparłam. – Mama opowiada mi różne stare historie.

– To świetnie.

Patrick ma miły głos, kiedy chce się przypodobać. Gładki, miękki, słodki jak miód. Głos podobał mi się w nim od początku, kiedy jeszcze musiałam z niego wyciągać opowieści, historyjki z okresu jego kalifornijskiego dzieciństwa, wszystko, co pamiętał. Jak to było, kochać się w wielkich amerykańskich krążownikach szos nad brzegiem oceanu? Migdalić się, iść na całość?

– Fiu! – odpowiadał ze śmiechem. – Chcesz spróbować?

Mama siekała teraz cebulę w maleńkie, doskonale równe, mięsiste kostki. Zapaliła świece, żeby oczy nie łzawiły jej od zapachu cebuli.

– Obawiałem się, że rozmawiacie o mnie – powiedział nalewając wino do trzech kieliszków. Podał je nam, po czym zapytał: – Czy wszystko w porządku?

Obróciwszy się zobaczyłam, że mama ma wzrok utkwiony w twarz Patricka, w jego lekko wyłupiaste oczy, w czerwonawe fałdki skóry pod nimi. Kręciła głową, jakby coś było niezupełnie w porządku, ale ona nie może, jak na razie, zdecydowć, co to takiego. Pamiętam, że doznałam potem uczucia nieokreślonej satysfakcji, gdy dostrzegłam, jak mama marszczy czoło.

– Więc za zdrowie pięknych pań! – powiedział Patrick unosząc z niepewnym uśmieszkiem kieliszek. – Za to się pije w Polsce, prawda? I diablo słusznie!

Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

Pierwsza część opowiadania:

https://www.cultureave.com/spacer-nad-credit-river-czesc-1/

Opowiadanie ukazało się w „Odrze”.

Spacer nad Credit River. Część 1.

Ewa Stachniak *(Toronto)*

Tłumaczenie: Krzysztof Zarzecki

Fot. Jacek Gwizdka.

– Tuż po pogrzebie – głos mamy brzmiał, jakby mówiła o rzeczy zwyczajnej, wręcz błahej – twoja babcia powiedziała: “Wolałabym, żebyś to ty zginęła zamiast niego”.

Schodziłyśmy z mamą wąską, wijącą się ścieżką do Erindale Park. Mama właśnie przyjechała z Polski, miała pobyć z nami dwa, trzy miesiące, ostatnia tak daleka i długa podróż jej życia. Do naszych policzków i ust lepiły się niewidzialne pajęczyny, na cienkich nitkach zwisających z drzew kołysały się małe żółtawe gąsienice. Nigdy nie widziałam ich tyle. Machałam przed sobą ręką, jakbym odganiała komary, ale niewiele to pomagało. Mama przewiązała sobie usta i nos czerwoną chustką, którą jej dałam. Wyglądała jak zamaskowany Indianin z dziennika telewizyjnego, jeden z tych wojowników ze szczepu Mohawk, którzy blokowali drogę do miasteczka Oka w Quebecu.

Wtedy łudziłam się jeszcze, że jesteśmy z Patrickiem szczęśliwi. Budziłam się rano z uczuciem uniesienia, które mnie nie opuszczało przez cały dzień. Wieczorami zapalałam świece i podawałam obiad na miśnieńskiej porcelanie, którą przywieźliśmy z Europy. Patrick otwierał butelkę naszego najlepszego merlota, który mama piła drobnymi, nieuważnymi łyczkami, jakby to była woda. Od pierwszego dnia jej pobytu, gdy oczy kleiły jej się jeszcze po zmianie czasu, snułam plany czekających nas wycieczek. Pokażę jej wszystko, co warte zobaczenia, obiecywałam, a później wynajmiemy domek nad

Georgian Bay i będziemy się wszyscy razem cieszyli kolorami jesieni.

– Czy to nie za kosztowne? – zapytała zaciskając wargi w wąską, cienką linię i rzucając mi niespokojne spojrzenie.

– Czy to ważne? – odparłam. – Możemy sobie na to pozwolić.

W tym czasie Patrick nosił jeszcze brodę, gęstą, rudawą, zgrabnie przystrzyżoną, jej włoski sprężynowały pod moim dotykiem, powracały do pierwotnego kształtu jak gąbka. Poczułam, jak jego stopa przesuwa się pod stołem po mojej łydce. Mama nie spuszczała ze mnie oczu, wprawiało mnie to w zakłopotanie. Nie chciałam, żeby się czuła u nas nieswojo, miała wrażenie, że nam zawadza. Odepchnęłam jego stopę i przestał.

***

Mama była paleontologiem. Przez czterdzieści lat badała skamieliny ryb, ciemnobrązowe szkielety uwięzione w zwartych warstwach karpackich łupków. Ojciec powiedział mi kiedyś, że z tych skamielin potrafi ona określić głębokość pradawnych mórz, skład ich wód, rodzaj prądów i pokładów geologicznych na ich dnie. Co lato wyjeżdżaliśmy wszyscy do podkarpackich wiosek z ich wozami konnymi, cuchnącymi wygódkami i kopcącymi lampami naftowymi. Od miejscowych chłopów wynajmowaliśmy

pobielane izby, w których nad chwiejnymi łóżkami z siennikami wypchanymi słomą wisiały obrazy Chrystusa z obnażonym gorejącym sercem.

Codziennie rano mama, tato i kilkoro studentów, którzy z nami przyjeżdżali, szliśmy na odkrywki. Co roku obiecywałam sobie, że się do tego zapalę, i przez pierwsze kilka dni łupałam warstwy skalne z nadzieją, że odkryję jakiś rzadki okaz, coś, czego mama nie odrzuci za jednym rzutem oka jako “zwykłego śledzia”. Ale mój entuzjazm gasł szybko. Gryzły mnie owady, woda w potokach była za płytka do pływania, a mama nie miała czasu na zabawy, odbijała płatami warstwy łupka, rozdzielała je niecierpliwie i odrzucała puste na rosnącą kupę. Zostawałam więc z babcią we wsi. Próbowałam się bawić z wiejskimi dziećmi, ale te miały swoje obowiązki i śmiały się z mojej mowy.

– Co twoja matka tam kopie? – chciały wiedzieć. – Złota szuka?

– Nie – mówiłam żałując, że tego nie robi, pragnąc, żeby robiła cokolwiek, co bym mogła wytłumaczyć.

***

– Nazywają się *gypsy moth* – wyjaśniałam mamie. Nie znałam ich polskiej nazwy, nie znałam też łacińskiej, którą mama by pewnie rozpoznała. – Są w tym roku plagą w całym Ontario.

Wielkie dęby, które mijaliśmy koło ścieżki schodzącej do rzeki, utraciły prawie wszystkie liście. Był dopiero koniec lipca, a całą ziemię zaściełały półzeschłe płatki i gołe łodyżki, szkielety liści, zielonkawe, pajęczo cienkie.

– Mam nadzieję, że dęby nie uschną – powiedziałam.

Mama wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, że nie uschną – odparła. – To dla nich nie koniec świata.

***

Patricka poznałam krótkie parę miesięcy wcześniej, w grudniu 1989, na przyjęciu u znajomych. Właśnie zostałam zwolniona z pracy, a miałam już trzydzieści osiem lat. Był to okres, kiedy pierwsza fala cięć budżetowych dotknęła ontaryjskie uczelnie. Uczyłam nowych imigrantów angielskiego, dopóki pewnego dnia nie zredukowano pięciorga z nas.

Powinnam była wiedzieć, co się szykuje, ale nie wiedziałam. Lubiłam swoją pracę, byłam w niej dobra. Studenci mnie chwalili. Telefon zadzwonił o siódmej rano, parę minut przed moim wyjściem na zajęcia o ósmej. Ktoś z Działu Personalnego, osoba, z którą nidgy dotąd nie miałam do czynienia, zawiadomił

mnie, że mam przyjść o czwartej na zebranie.

– Jakie zebranie? – zapytałam. – O co chodzi?

– Tego nie mogę pani powiedzieć – odrzekła kobieta. – Przykro mi, ale takie zarządzenie. Nie wolno mi więcej mówić.

W college'u szef nie chciał się ze mną zobaczyć. Sekretarka powiedziała mi, że jest zbyt zajęty. Mam poczekać do zebrania, to się wszystkiego dowiem. Czułam, że nie może to być dobra wiadomość, ale miałam jeszcze nadzieję.

– Może chcą cię awansować – szepnęła mi z uśmiechem przyjaciółka.

O czwartej nie pozostał mi już cień nadziei. Szef unikał mego wzroku, wręczając mi białą kopertę z moim nazwiskiem.

– Nie jest to sprawa pani kwalifikacji – powiedziała słodziutkim głosem personalna – ani wyników pani nauczania. Decyduje niewielka wysługa lat.

W kopercie, oprócz zawiadomienia o zwolnieniu, były dwie broszury. "Poradnictwo i usługi prawne dla pracowników wyższych uczelni" – głosiła czerwonymi literami jedna z nich. "Jak sobie radzić w kryzysach życiowych" – doradzała druga.

W Polsce mówiliśmy, że nieszczęścia chodzą parami. Parę dni później w kieszeni marynarki mego przyjaciela znalazłam pomiętą kartkę z nazwiskiem i telefonem kobiety. Wykręciłam numer.

„Cześć! Tu Catherine. Wiecie, jak nie lubię, kiedy mi coś przelatuje koło nosa. Dotyczy to i waszego telefonu. Zostawcie wiadomość albo zadzwońcie jeszcze raz”.

Młody, jędrny głos kobiecy. Prężny, pomyślałam, pewny siebie. Wyobraziłam sobie jej smukłe kształty opięte lykrą, długie kasztanowe włosy. Kasztanowe włosy wzięły się z reklamy w *New Yorkerze*, którą dzwoniąc widziałam kątem oka: młoda kobieta w czarnej sukience bez rękawów, z wężowym uśmieszkiem triumfu na wargach, zaciąga się cygarem. Z ciemności w tle dochodzi męski głos: “Agnes, nie widziałaś moich Don Diegos?”

Kiedy go poznałam, Patrick miał na sobie ciemnopopielaty garnitur, w klapie wpięty emblemat liścia klonowego. Zapach wody kolońskiej otaczał go ostrą piżmową tarczą. Przedstawił się jako konsultant do spraw systemów ochrony środowiska, z ramienia rządu sprzedający technologię kanadyjską do Chin.

– I podoba się panu ta praca? – spytałam.

– Cóż, praca jak praca – odparł przyglądając się z uśmiechem, jak cedzę wino. – Nie mogę powiedzieć, że jej nie lubię. Poza tym nieźle mi idzie. A pani?

Opowiedziałam mu o Polsce. Kiedy z niej wyjeżdżałam w 1982 roku, sklepy były puste, po Warszawie jeździły czołgi, żołnierze czaili się na rogach ulic.

– Ale to już melodia przeszłości, nie? Co pani robi t e r a z?

Rzucił to pytanie z lekkim półuśmieszkiem na twarzy, tym uśmieszkiem filuternego chłopca, jakiemu najtrudniej się oprzeć. To jego t e r a z wprawiło mnie w zakłopotanie. Powiedziałam, że padłam ofiarą redukcji w college'u, ale udało mi się zdobyć parę kursów tu i tam. Robię przekłady, tłumaczę w Departamencie Imigracji. Co się trafi.

– Marnuje pani czas, Yvonne – orzekł.

Już wtedy mi się podobał. Pamiętam, jak patrzyłam na jego dłoń, w której trzymał szklaneczkę whisky, na kształt jego paznokci z wymownymi śladami skaleczeń. Biała nasada paznokcia palca wskazującego wżerała się głęboko w ciało; widać odcięta kiedyś, nie zrosła się nigdy właściwie. To ręce mężczyzny, który się nie oszczędza, pomyślałam, który potrafi zrobić wszystko.

– Jest pani za dobra na takie bzdety – powiedział patrząc mi prosto w oczy, a skóra jego twarzy napięła się i poróżowiała.

Siedzieliśmy od dłuższego czasu na wysokich stołkach barowych, zaczynały mnie od tego boleć plecy. Pokręciłam szyją, żeby zmniejszyć trochę napięcie mięśni, ale niewiele to pomogło. Oparłam się na łokciu, popatrzyłam na Patricka z ukosa.

– Rynek azjatycki jest przereklamowany, ślepa uliczka, tak ja to widzę. Europa to co innego -mówił – najwyższa pora, żebyśmy się tam załapali.

Święta racja, myślałam. Kiedyśmy to mówili, kruszono betonowe płyty muru berlińskiego, łupano je na pamiątkowe kamyki. Polska przeobrażała się szybko w kwitnący rynek, krainę wielkich możliwości, z giełdą, McDonaldami, pizzeriami, Marriottem i lalkami Barbie o szeroko rozwartych oczach i twardych, spiczastych piersiach.

Kiedy pojechałam do Warszawy na pogrzeb ojca, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Partyjne slogany głoszące wieczną przyjaźń Polski ze Związkiem Radzieckim zostały zastąpione kolorowymi billboardami. Chodniki były zastawione improwizowanymi stoiskami. Cokolwiek się nadawało, stoliki ogrodowe czy łóżka polowe, służyło za punkty sprzedaży ze zręcznie ustawionymi piramidami papierosów malboro, camel,

rothmans. Niektóre oferowały francuskie perfumy, niemieckie mydła, wielkie plastykowe butelki szamponu.

– Koniec z kolejkami – powiedziała mama. – Mogę kupić szynkę, kiedy chcę. Starczy dla każdego. Więc dlaczego musieliśmy się uganiać za wszystkim przez tyle lat?

Siedziałyśmy w nowo otwartej restauracji na Nowym Świecie, mama w swojej czarnej sukni wydawała się taka drobna, jakby głowę zaprzątała jej tylko myśl, żeby zajmować jak najmniej miejsca. Czekałam, kiedy zacznie mówić o ojcu, ale nie zaczynała. A ja nie przynaglałam.

– Nie mogę na to patrzeć – szepnęła do mnie wskazując brodą młodą kobietę w dżinsach, która się sadowiła przy sąsiednim stoliku. – To zgubne dla populacji. – Chodziło jej o obcisłość dżinsów, sposób, w jaki elestyczny materiał przylega do ciała. Wyliczała swoje obiekcje: utrudnia to krążenie krwi, drażni skórę, powoduje infekcje. – I to młode kobiety – dowodziła – w wieku, w którym powinny rodzić.

Pokręciła głową w ten swój komiczny sposób, którego nie znoszę, drobnymi ptasimi ruchami dezaprobaty.

– Może ona wcale nie chce mieć dzieci – powiedziałam i wzruszyłam ramionami.

Nie miałam zamiaru wdawać się z nią w dyskusje, teraz ani nigdy, wytykać jej, że się zawsze troszczy o “populację”, a nie po prostu o ludzi. Kiedy byłam mała, starałam się wyobrazić sobie te pokolenia, o których tak często mówiła, te “banki genów dziesiątkowane przez wojny i powstania”, milczące szare armie mamy, sunące z mozołem przez czas.

– To nie tylko ona, wszystkie to noszą – powiedziała z niedowierzaniem mama, nie pojmując, jak mogę się z nią nie zgadzać.- Chodzi o zdrowie narodu, więc jak możesz coś podobnego mówić.

Zaraz po przyjęciu Partick zaprosił mnie na kolację. Niedaleko stąd jest mała grecka restauracja, Il Paradiso, z gipsowymi kopiami starożytnych rzeźb i winoroślą z jedwabiu rozpięta na jońskich kolumnach. To tam Patrick mi powiedział, że ma dostateczne znajomości w sektorze ochrony środowiska, żeby otworzyć właściwe drzwi w Ottawie. Mogłabym wykorzystać kontakty rodziców w Warszawie, dowodził. Pośredniczyć i tłumaczyć.

– Zarobisz więcej przez rok niż ten dupek, który cię wyrzucił, zarobi przez dziesięć – powiedział ze śmiechem i wypiliśmy za to.

Miał rację. W ciągu trzech miesięcy skompletowaliśmy zespół polskich chemików do produkcji żywic jonowymiennych

oczyszczających ścieki przemysłowe. Żywica, tłumaczył Patrick, pochłania jony miedzi, srebra i metali ciężkich, wyzwalając w ich miejsce jony obojętne. W ciągu niewielu godzin jest w stanie przemienić hektolitry trujących ścieków w nieszkodliwą ciecz.

Jedyny problem stanowiło to, że synteza tych żywic wymaga użycia substancji freonopodobnych, a to naprawdę "śmierdząca sprawa", jak to określił Patrick. Jednym ze sposobów wytwarzania takich reagentów jest produkcja w hermetycznych pomieszczeniach, to jednak byłoby zbyt kosztowne i trudne do zagwarantowania. Innym sposobem byłoby przeniesienie brudnej fazy produkcji na Ukrainę, gdzie przepisy ochrony środowiska są znacznie bardziej liberalne.

– Tam to jest całkowiecie legalne – powiedział Patrick, kiedy się zawahałam. – To kwestia wyboru, Yvonne. Co jest bardziej szkodliwe, nieuzdatnione ścieki spuszczane do waszych rzek czy kilka ewentualnych wycieków i emisji setki kilometrów dalej?

Nie chcę tu zanudzać szczegółami handlowymi, ale faktem jest, że otworzywszy fabrykę w Polsce, byliśmy wkrótce w stanie wytwarzać żywicę taniej niż zakłady Dow Chemicals. "Niczego sobie"- entuzjazmował się Patrick z szerokim uśmiechem. Miał na pieńku z zakładami Dow z dawnych lat, kiedy się dekował przed poborem.

W ciągu roku pozyskaliśmy nabywców w Niemczech i Stanach- zupełnie nieźle jak na początek.

Piliśmy pod ten sukces w klubie Panorama na czterdziestym piętrze hotelu Marriott w Warszawie, skąd nawet Pałac Kultury i Nauki, ten "dar" Stalina dla niegdyś zniewolonego miasta, wyglądał jak nędzna szara zabawka.

Ewa Stachniak, fot. Mark Reynes Roberts

Druga część opowiadania Ewy Stachniak „Spacer nad Credit River" ukaże się we wtorek, 13 sierpnia 2019 r.

Sławomir Mrożek. Rozmowa przy kawie o flircie, teatrze i wolności.

Sławomir Mrożek, fot. materiały prasowe.

Anna Maria Mickiewicz *(Londyn)*

Co myślał o swej twórczości i bohaterach sam Mistrz? Oto krótka rozmowa, którą przeprowadziłam tuż po premierze *Letniego dnia* w jednym z londyńskich teatrów. Powinnam dodać, że Sławomir Mrożek niechętnie udzielał wywiadów. Jeżeli do nich dochodziło, stawał się powściągliwy i milczący… Dlatego na spotkanie z dramaturgiem podążałam z dużym zaciekawieniem i niepewnością zarazem… Było to swoiste wyzwanie.

Dzień był wyjątkowo ciepły, słoneczny i wiosenny. Umówiona byłam w godzinach przedpołudniowych w znanej londyńskiej dzielnicy Belgravia, przy Sloane Square. Tuż przy głównym skwerze, wśród licznych kafejek, widniał zabytkowy gmach słynnego teatru The Royal Court Theatre. Po latach został unowocześniony; już z oddali odbijała się w promieniach słońca czerwona płaskorzeźba, znajdująca się na pierwszym piętrze teatru – *notabene* wykonana przez polskiego artystę Antoniego Malinowskiego.

Sławomir Mrożek czekał na mnie w teatralnej kawiarni, usytuowanej w podziemiach. Panowała cisza, twórca był jakby osnuty półmrokiem… To chwile, kiedy teatry drzemią, wypoczywają po wieczornych wydarzeniach. Dramaturg ze spokojem popijał kawę. W takim nastroju, swoistej przychylności, przebiegała nasza rozmowa…

Anna Maria Mickiewicz:

Czy czuje się Pan czasami jak jeden z bohaterów *Letniego dnia*?

Sławomir Mrożek:

Nie, nigdy, dlatego że pisanie sztuki czy wierszy, powieści to nie jest nigdy autobiografia. Składa się może z elementów autobiograficznych, ale nie jest tak, by pisarz w powieści, czy w swych dziełach opisywał siebie.

Czy *Letni dzień* nie zawiera żadnych wątków autobiograficznych? A jest to sztuka, która w dużym stopniu poświęcona jest anatomii dojrzewania mężczyzny…

No, może częściowo jest…, ale w taki rozproszony sposób i nie ma potrzeby tego udowadniać.

Natomiast bohaterka dramatu to osoba bardzo inteligentna, przewrotna, bystra. Czy tak Pan widzi kobiety?

Należy pamiętać, że żaden utwór literacki nie jest pamiętnikiem ani świadectwem, ani wyznaniem wiary autora. Kobiety inteligentne istnieją – na szczęście. Zwracano już uwagę na to, że

bohaterka tej sztuki jest kobietą ciekawą, nieprzeciętną. Dlatego też ta postać budzi sympatię zarówno widowni, jak i aktorek, które były zawsze zainteresowane graniem tej roli.

Nasuwa się spostrzeżenie; otóż jeden z bohaterów Pańskiej sztuki przypomina bohatera *Fausta* Goethego – odnoszącego sukces, lecz nieodczuwającego życiowej satysfakcji. Czy jest to zbieżność przypadkowa?

Ja nie zajmowałem się określaniem bohatera, jego charakterem, życiorysem. Budowałem sytuację dramatyczną na scenie, czyli taką, w której coś się dzieje i z której coś wynika. Dlatego potrzebne były mi dwie kontrastowe postacie. Jest to może bardzo schematyczne, ale skuteczne, bo pozwoliło mi napisać sztukę, która funkcjonuje dobrze na scenie. Nie jest to duża sztuka, ale dobre i to.

Czy angielska wersja teatralna *Letniego dnia* sprawiła Panu satysfakcję i zadowolenie?

Każde przedstawienie mojej sztuki sprawia, że czuję się dobrze… Nie dlatego, że jestem autorem, tylko dlatego, że po prostu lubię teatr. Jeżeli zdarza się, że jestem autorem danej sztuki, tym lepiej.

Czy wczorajszy spektakl miał jakieś szczególne cechy, a

może jakieś braki?

Trudno powiedzieć. Jeżeli teatr jest poniżej pewnego poziomu technicznego, zawodowego, to zapewne tak jest. Ale nie w tym przypadku. Każde przedstawienie jest inne. W danym kraju, mieście, ta sama sztuka może mieć różne interpretacje. Nawet grana w tym samym teatrze – każdego wieczoru jest inna. Dlatego teatr jest żywy, przedstawienie jest faktem teatralnym, dlatego trudno jest rozmawiać o jego niedostatkach.

Pańska sztuka jest bliska mentalności brytyjskiej, dużo w niej logicznej gry słów z wieloma podtekstami; uderza mówienie o smutnych rzeczach z humorem.

To nie musi być tylko brytyjskie, to może też być czeskie. To swego rodzaju skłonność do niedopowiedzenia – *understatement*, które jest rzeczywiście również cechą brytyjską.

Jaki powinien być teatr – smutny czy wesoły?

Teatr powinien być taki, aby publiczność nie wyszła z sali po pierwszych pięciu minutach. Jak się to uda, to już jest dobrze. Dlatego uważam, że teatr powinien bawić publiczność.

W latach sześćdziesiątych Pańskie sztuki budziły zaciekawienie wśród publiczności polskiej. Jednak wówczas

nie zawsze były rozumiane, sprawiały wrażenie dziwnych.

Na pewno te same sztuki nie budzą już dzisiaj zdziwienia, ponieważ pojawiły się nowe sposoby przedstawiania dramatu, które są jeszcze bardziej dziwne. Nie sądzę, by na przykład *Szczęśliwe wydarzenie* prowokowało dzisiaj podobną reakcję, jak trzydzieści lat temu. Z drugiej strony, nie wiem, jak było wówczas, gdyż nie byłem obecny w kraju przez ponad trzydzieści lat. Dlatego też trudno mi powiedzieć.

Kontynuując wątek. Pańskie dramaty są bardzo przewrotne. To swoista zabawa słowem…

Dlaczego przewrotne?

Dlatego, że z jednej strony dialog opiera się na humorze, z drugiej jednak istnieje warstwa dramatyczna, zawierająca wiele prawd metafizycznych, bardzo smutnych.

Tego nie nazwałbym przewrotnością, tylko umiejętnością przyciągania i zatrzymywania widza. Jeżeli widz czuje się zaciekawiony, to nie wyjdzie z teatru, zanim sztuka się nie skończy, po drodze można mu powiedzieć jeszcze coś poważniejszego. Sposobem na widza jest zabawa.

Bardzo często życie przedstawia Pan jako formę

więzienia…

To nie jest tylko w mojej twórczości. Na tym polega życie, że są ograniczenia. Gdyby ich nie było, to by nie było życia i nas też. Jednocześnie na to narzekamy, bo chcielibyśmy być absolutnie wolni. Natomiast absolutna wolność oznacza śmierć… Przestajemy podlegać prawu ciążenia, natychmiast się ulatniamy w kosmos i nas nie ma. Zarówno mnie nie ma, i pani nie ma. Wszystko się odrywa od ziemi i znika. Dlatego nie należy narzekać na jakiekolwiek ograniczenia.

Londyn, marzec 2000 r.

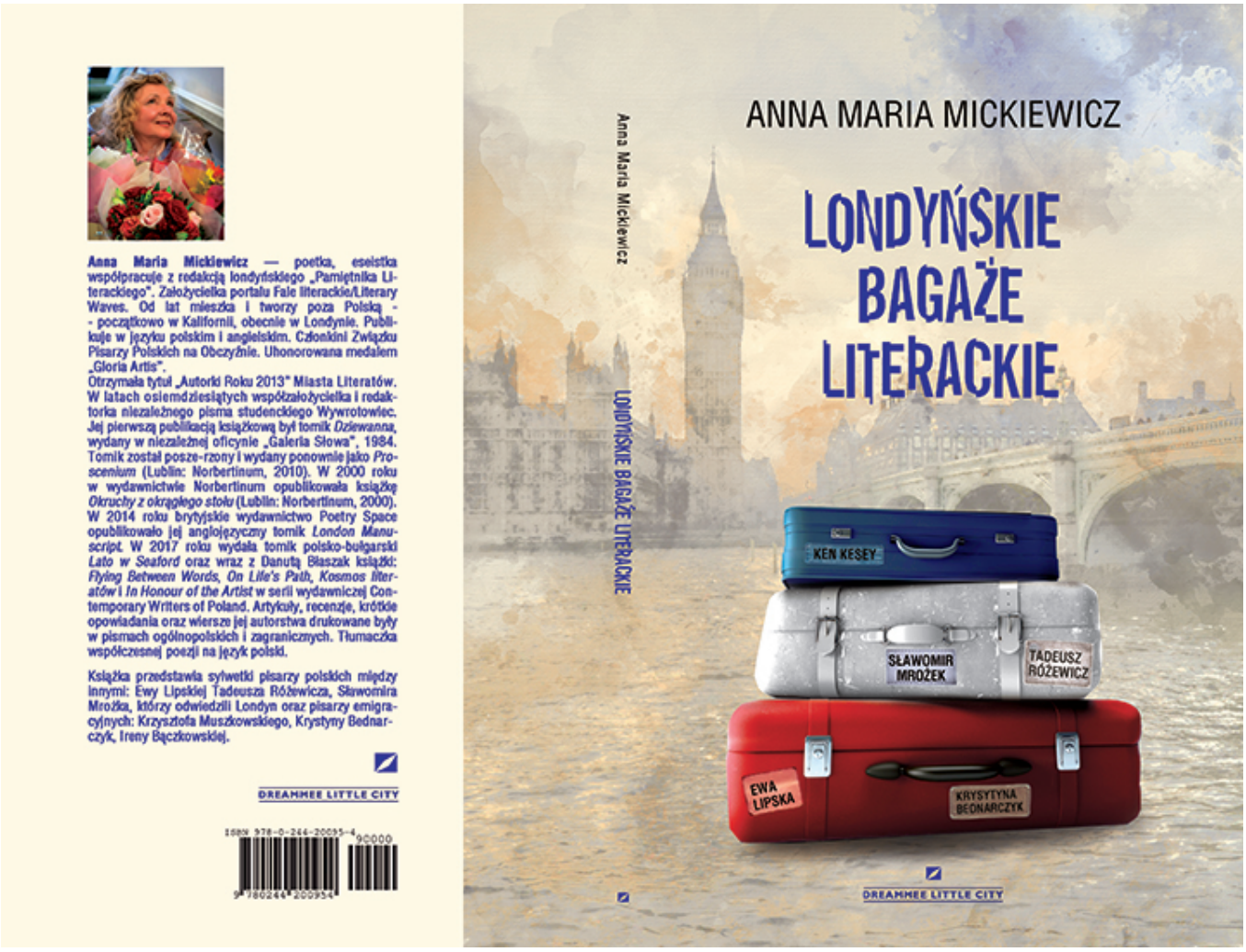

Wywiad ze Sławomirem Mrożkiem to fragment książki, Anny Marii Mickiewicz „Londyńskie bagaże literackie", która właśnie się ukazała. Materiały poświęcone są przede wszystkim pisarzom polskim, którzy zaistnieli w polskiej i międzynarodowej przestrzeni kulturalnej, których autorka miała okazję spotkać poza granicami kraju. Oprócz Sąłwomira Mrożka należą do tego grona Ewa Lipska, Tadeusz Różewicz, Krzysztof Muszkowski, Krystyna Bednarczyk. To swoisty pamiętnik.

Książkę można kupić:

http://www.lulu.com/shop/anna-maria-mickiewicz/londy%C5%84skie-baga%C5%BCe-literackie/paperback/product-24179769.html

http://www.norbertinum.pl/ksiazka/717/Londy%C5%84skie-baga%C5%BCe-literackie?fbclid=IwAR2J-0grjcLD6LpS_6E5xz8RRBEouKQ06_sGLJjboOt4DigmGgAJmn7atvM

Anna Maria Mickiewicz z książką

Czyżby zmierzch redaktorów?

Florian Śmieja, Jan Kaszuba, Wojciech Krajewski, Adam Bromke, Benedykt Heydenkorn, fot. arch. F. Śmieji.

Florian Śmieja *(Mississauaga, Kanada)*

Panie Redaktorze, pyta Pan mnie, jak to było dawniej sugerując,

że ja pamiętam jeszcze, co się działo w ciągu ostatniego półwiecza w prasie polskojęzycznej na Zachodzie. Nie wiem, jak jest z tą pamięcią i czy dużo pamiętać to dobrze. Owszem, w latach czterdziestych zacząłem czytać prasę codzienną i czasopisma w Anglii. Prasa ta miała twarde życie, skoro „Dziennik Polski" ukazuje się w Londynie po dzień dzisiejszy. Widać, że ta prasa miała wiernych czytelników i że była pisana przez ludzi ideowych znających także swój fach. Zresztą sam również brałem aktywny udział redagując, względnie współpracując, przez dziesięć lat z trzema pismami młodych w Londynie. (Odsyłam do trzech książek, które dotychczas ukazały się w Polsce na ten temat. A zanosi się na więcej).

Kiedy w roku 1969 przeniosłem się z Anglii do Kanady, nadal abonowałem znakomity tygodnik londyński „Wiadomości" oraz miesięcznik paryski „Kultura" aż do ich zamknięcia. Natomiast moją prasą codzienną stały się rywalizujące z sobą na terenie Ontario tygodniki (w pewnym momencie jeden z nich stał się pół tygodnikiem) „Głos Polski´ i „Związkowiec". Oba pisma, czy raczej ich cienie, z czasem zamilkły, a kiedyś miały nakłady sięgające tysięcy egzemplarzy, które wówczas się sprzedawały i słały poza granice Kanady. Jaka jest sytuacja obecnie?

Minęły już lata od śmierci w Toronto Benedykta Heydenkorna (1906-1999), wybitnego dziennikarza i wieloletniego redaktora „Głosu Polskiego", a później „Związkowca". Żył mężnie wśród

kanadyjskiej Polonii, choć sam z niej nie był, przyjechał bowiem z emigracji niepodległościowej. Przeszedł przez Związek Sowiecki, a potem z II Korpusem gen. Władysława Andersa był we Włoszech i został zdemobilizowany w Anglii. Staż swój w Kanadzie zaczął od kontraktowej pracy fizycznej, ale z czasem stał się korespondentem prasowym (niepłatnym), aż wreszcie współpracownikiem i kierownikiem pism.

Praca w dziennikarstwie była pół wieku temu bardziej honorowa niż intratna. Płace były skromniutkie, żadnych przywilejów, libacji w konsulacie czy darmowych biletów LOT-u. Były to czasy ascezy i wolontariuszy, za to robiło się dużo, bo dla sprawy. Ludzie emigracji żołnierskiej marzyli o powrocie do Polski, nie imponował im Zachód, rzadko który robił karierę. Mniej z pewnością było sporów o pieniądze publiczne, gdyż ich nie było lub były zbyt skromne. Kasa Pożyczkowa dopiero co się wykluła. Z czasem jednak zapał społeczników począł stygnąć, szczególnie, gdy zaczęła odchodzić starszyzna.

Nie panowała bynajmniej wyłącznie sielanka. Jak to wśród krewkich Polaków, wybuchały scysje, zatargi i pomówienia zazdrośników oraz zawiedzionych karierowiczów, blagierów wszelkiej maści, których na emigracji nigdy nie brak, a którym Heydenkorn nie schlebiał i polityków, którym bębenka nie chciał podbijać. Cieszył się za to zaufaniem współpracowników, wdzięcznością czytelników i wielu członków Polonii, którym

gratisowo radził i pomagał. Bo redaktor był kiedyś instancją poważaną, człowiekiem zaufania, który stał ponad partiami i prywatą, osobą nieprzekupną i niezawisłą. Był nieomal moralną wyrocznią.

Jego wyraźny głos znajdował posłuch. Czy kiedy domagał się zwrotu skarbów wawelskich przechowywanych w Kanadzie, czy kwestował na chleb dla Polski, był osobowością, z którą się liczono. Respektowały go także władze kanadyjskie. Od samego początku działalności w Kanadzie opowiadał się za zapisywaniem się Polaków do kanadyjskich partii politycznych i do odgrywania roli w życiu kraju zamieszkania, kiedy nie było to dobrze widziane, a nawet ostro krytykowane.

Animacja polskiego życia kulturalnego w wydaniu Heydenkorna nic nie miała wspólnego z pragmatycznym, czy wręcz interesownym podejściem chytrych i obrotnych aktywistów, którzy się zaczęli pojawiać później. Redaktor wiele rozumiał. No, może dziwił się nieco, że uciekinierzy spod komunizmu tak chętnie zaczęli natychmiast jeździć na Kubę nie martwiąc się o tamtejszą ludność nadal trzymaną w ryzach totalitaryzmu. Cechowała go tolerancyjność i chęć pomagania. Zachęcał i zagrzewał zainteresowanych i radził, podsuwał materiały i wprowadzał do zagadnień i tematów mało dbając o własne imię, a tym bardziej kiesę.

Dziś, gdy przeglądamy stosy wywiadów robionych ostatnimi laty z jednodniowymi fenomenami polskiego życia w Kanadzie, zauważymy, że wśród nich brakuje prezentacji Heydenkorna. Wszystkie płotki są w komplecie, brak dużej ryby. To już wina tuzinkowych ludzi, którzy dosiedli zbyt wysokich dla siebie foteli. Rozeznanie mieli kiepskie i krótkowzroczne. Heydenkorn nie wypinał piersi do orderów i wyróżnień, za to był natchnieniem i dobrym duchem wielu poważnych historyków, socjologów i dziennikarzy, którzy idąc jego śladami studiowali polską diasporę w Kanadzie i napisali o niej wiele istotnych studiów i monografii.

Pamiętam, jak się jedynie łagodnie uśmiechnął, kiedy w „Związkowcu" zaczęła pracować młoda pani przyjezdna z Polski i oświadczyła z tupetem, że była pierwszą dziennikarką z prawdziwego zdarzenia na terenie Kanady. Już o niej zapomniano. Redaktor do końca interesował się fluktuacją polskiej diaspory, sumiennie notował inność kolejnych fal polskich imigrantów przezywanych raz 'mormonami' raz 'sylwestrowo-kabaretowymi', uznając spokojnie, że zmieniają się ludzie i ich ideały a także potrzeby. Mówił do końca o konieczności szybkich przemian struktur polonijnych.

Jakie mogą być moje refleksje Anno Domini 2019? Odeszli od nas wielcy redaktorzy, którzy na Zachodzie pokazali wysoką klasę człowieczeństwa i fachowości, myślę przede wszystkim o Mieczysławie Grydzewskim czy Jerzym Giedroyciu, ale także o

wyżej wymienionym Benedykcie Heydenkornie. I po nich zaległa pustka. Może po prostu w dziennikarstwie nie ma już zapotrzebowania na jednostki nieprzeciętne w erze szarego człowieka, który osobowości ośmieszył i oszkalował, bo nie potrafił im dorównać? Na wielkich spędach i przy szumie nowych gwiazdorów i ulubieńców ludzie płynący nie z prądem musieli przegrać? Nie pasowali do warchołów i konsumentów dóbr, do pogrążających w niesławie dobre imię, na które inni ciężko pracowali przez wiele lat.

Zastanawiałem się onegdaj nad listą ewentualnych solidnych firm, rodaków spolegliwych, na których można polegać. Pomyślałem o jednym takim, co przyleciał do mnie jak po ogień, bo chciał robić pilny wywiad. Zabrał kupę fotografii i nie potrafię tych fotografii odzyskać. Z wywiadu oczywiście, nici. Inny ma moją taśmę i książki i również nie umiem ich odebrać. A niech was z taką solidnością! To chyba wiele mówi o stanie sprawy.

Potem na całym świecie nastąpiło załamanie sie prasy. W miejsce dawnych ambitnych publikacji powstało wiele nowych pism. Teraz, darmowe, walają się wszędzie, ale nie ma wśród nich takiego, którego lektura byłaby konieczna. Nie widać też rzetelnych, słownych redaktorów budzących powszechne zaufanie, bo ustawicznie uwikłani są w połajanki i kłótnie, a równocześnie pretendują do reprezentowania czegoś i kogoś, a jako tacy wirtualni przedstawiciele latają do kraju chcąc za

wszelką cenę pozostać uprzywilejowanymi pupilkami za granicą.

Nowa sytuacja pozbawiła nas głosu. Można i tak żyć. W Polsce nasi ziomkowie zafundowali sobie cezaropapizm. Co nam przyniesie jutro?

O Benedykcie Heydenkornie:

https://www.cultureave.com/wspominajac-wybitnego-redaktora/

Rozmowa w zaświatach

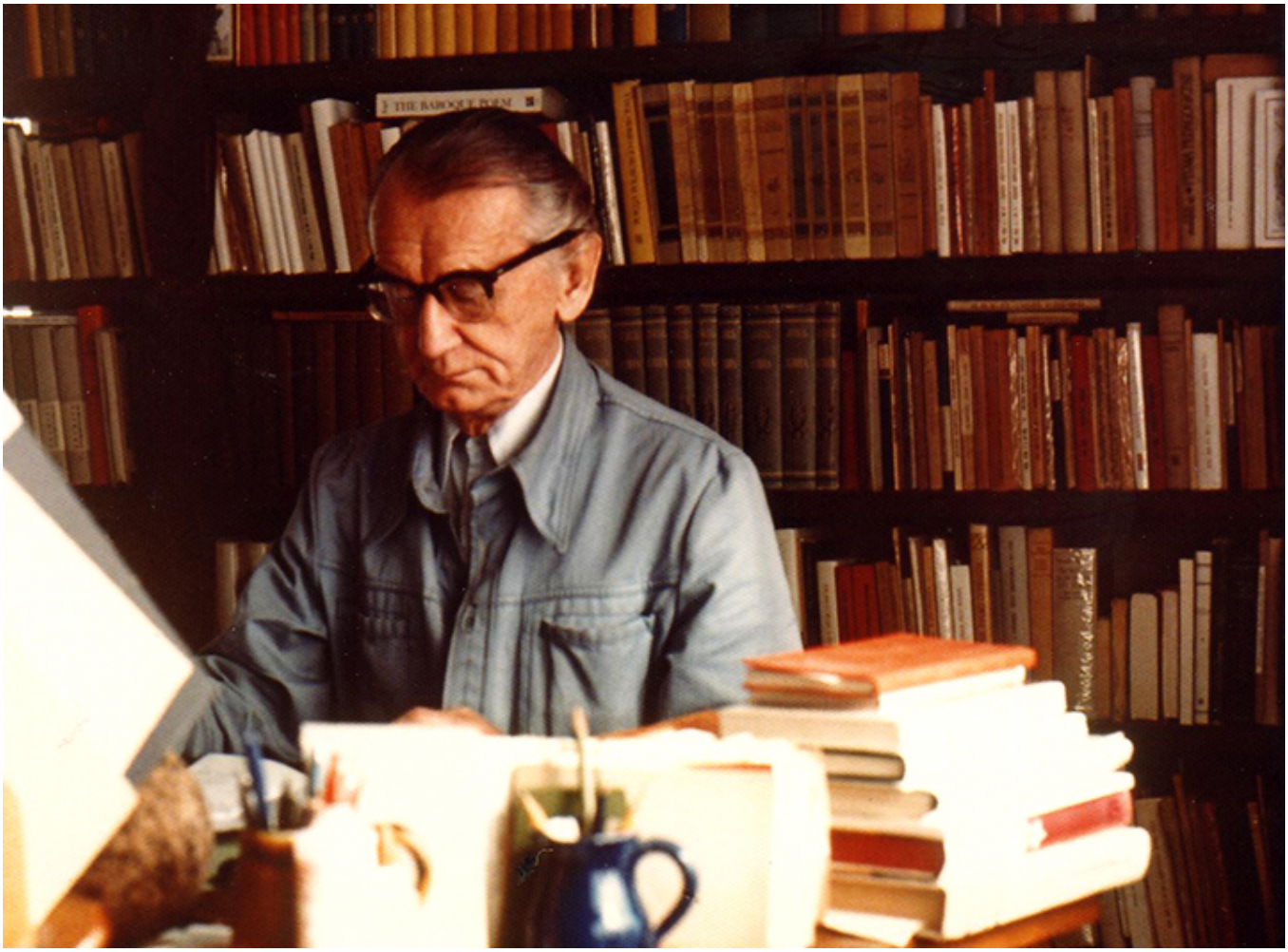

Tymon Terlecki w lutym 1977 r. w Chicago, biblioteka domowa, fot. arch. Niny Taylor-Terleckiej.

Nina Taylor-Terlecka *(Oxford, Wielka Brytania)*

Bronisław Przyłuski odszedł w 1930 r. Tymon Terlecki, który go przeżył o 20 lat, wysoko cenił jego poezję.

Uprzejmościowa, pełna wzajemnej estymy, ich korespondencja nie odsłania głębszych wynurzeń natury osobistej. Co zatem ich łączyło za życia?

Jednolatkowie – jeden zodiakalny Wodnik, drugi Lew, urodzili się w rewolucyjnym roku 1905. Przyłuski w Siemierzu, Terlecki w

Przemyślu, parę lat po sprzedaży majątku rodzinnego pod Jarosławiem. Obaj pochodzili ze zubożałej szlachty, obaj zostali wcześnie osieroceni: Przyłuski stracił matkę, gdy miał rok, Terlecki ojca, gdy miał trzy lata. Dzieciństwo Terleckiego było nie tradycyjnie wiejskie, lecz miejskie (w Przemyślu i Lwowie). Natomiast Przyłuski senior dzierżawił majątki na Lubelszczyźnie. Poza niefortunną wyprawą na jakąś szmirę prowincjonalną, o czym barwnie opowiada w autobiografii, pierwsze wrażenia teatralne Przyłuskiego wiążą się z spektaklem kolędowym okolicznych chłopów, jasełkami w kuchni czeladnej, z gwiazdą, turoniem i szopką, obrzędami dożynkowymi, andrzejkowymi i pasyjnymi. Terlecki natomiast wspominał *Betlejem polskie* Lucjana Rydla, które jako 7-letnie dziecko mógł obejrzeć w Przemyślu w styczniu 1913 r. w sali „Sokoła", zagrane przez Polskie Towarzystwo Dramatyczne im. Aleksandra Fredry lub w sali braci salezjanów na Zasaniu w inscenizacji Towarzystwa św. Stanisława Kostki.

Po ukończeniu szkoły podstawowej obaj uczyli się dalej we Lwowie. Terlecki chodził tam do szkół im. Konarskiego (1915–16), Batorego (1920–24) i Długosza, Przyłuski od 1919 r. do gimnazjum matematyczno-przyrodniczego przy Korpusie Kadetów, do którego wstąpił. Nie ma dowodu, żeby się w tym okresie zetknęli, choć estetycznie wrażliwych nastolatków pewnie przyciągały te same galerie, zbiory malarskie i wystawy.

Po maturze każdy wybrał inny kierunek – Przyłuski karierę wojskową – ukończył Oficerską Szkołę Artylerii i Inżynierii w Toruniu i w latach 1925-32 służył w 14. Dywizjonie Artylerii Konnej w Poznaniu, a Terlecki studia polonistyczne na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Obaj święcili debiut w 1930 r.: Przyłuski wierszem w Poznaniu, Terlecki wspomnieniem o zmarłym przyjacielu w prasie lwowskiej. Z poezją Przyłuskiego Terlecki mógł się zapoznać jako recenzent tomików poetyckich i okazjonalny animator wieczorów literackich w Kasynie Literacko-Artystycznym przy ul. Akademickiej lub podczas pobytu w Wielkopolsce z okazji kwerendy do pracy o Ryszardzie Berwińskim.

Gdy podczas kampanii wrześniowej, walcząc pod komendą generała Kleeberga, poeta został wzięty do niewoli pod Kockiem 7 października 1939 r., teatrolog Terlecki już przebywał w pierwszym obozie Wojska Polskiego tworzonego we Francji, w legendarnym **Coëtquidan**. Tam z kolegami zabrał się bezzwłocznie do założenia pisemka obozowego, wkrótce promowanego do godności organu całych Polskich Sił Zbrojnych. W tym samym czasie w Oflagu VII A w Murnau, Przyłuski angażował się w zakładanie teatru amatorskiego, pisał sztuki i rewie, zdobywał szlify aktorskie na improwizowanej estradzie, redagował pismo *TO*, czyli *Teatr Obozowy*.

Gdy po upadku Powstania Warszawskiego słynny reżyser Leon

Schiller pojawił się w oflagu Murnau, Przyłuski z kolegami „wzięli go na garnuszek”, gotując mu na knotach łojowych – jak później wspominał – zepsute niemieckie kartofle z amerykańską wołowiną i polską wędzonką. Przy tym ostro dyskutowano o sztuce. Wkrótce Schiller włączył się do życia artystycznego obozu; właśnie prowadził próby dramatu poetyckiego Przyłuskiego *Hiob*, kiedy armia amerykańska wyzwoliła obóz (29 IV 1945).

Od razu nawiązuje się nić wspólnoty. W przedwojennej Warszawie Terlecki współpracował z Schillerem w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, towarzyszył mu w pracach organizacyjnych, przygotował program studiów teatrologicznych. Po wojnie krótko miał nadzieję, że da się go ściągnąć na emigrację. Wspomnienie obozowe Przyłuskiego ukazało się w specjalnym numerze *Wiadomości* (nr 44, 1955 r.) poświęconym Schillerowi, a zainicjowanym i zredagowanym przez Terleckiego.

Już po przybyciu Przyłuskiego do Londynu, obaj panowie spotykali się w teatrze, na łamach *Wiadomości*, w siedzibie Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Żona Terleckiego, Tola Korian, niejednokrotnie koncertowała w Mabledon Park, gdzie Przyłuski kierował świetlicą. W recenzji z *Pastorałki małoszowskiej*, granej w „Ognisku” w 1952 r. przez zespół amatorski z Mabledon, Terlecki przywoływał wzór *Pastorałki*

Schillera, a inscenizację Przyłuskiego zapamiętał na zawsze.

Z Radiem Wolna Europa Terlecki współpracował od 1952 r. jako tzw. wolny strzelec. Wyróżniony w konkursie RWE za utwór literacki (1953 r.), Przyłuski od 1958 r. miał etat w Monachium, gdzie m.in. zastępował Romana Palestra w czuwaniu nad realizacją słuchowisk. Mimo że etatowa praca nie sprzyjała warsztatowi poetyckiemu, jego monachijskie lata cechuje bogata twórczość radiowa. Pisał ambitne dramaty radiowe, o rozmachu wręcz wizyjnym, żeby wymienić chociażby *Chustę Weroniki* czy *Rozmowę drzew* opartą na staroangielskim *Dream of the Rood*. Znad Tamizy Terlecki – autor audycji dla przedwojennego Polskiego Radia – przesłał w okresie kilkunastu lat ok. 40 adaptacji. Trzon jego dorobku radiofonicznego to teatr liturgiczny, dramat chrześcijański; jego adaptacje na antenę mają najczęściej wymiar metafizyczny.

Nawet zaciekli teatromani nie samym teatrem żyją. Obu panowie oddawali się pasjom malarskim. Wielbiciel i subtelny znawca malarstwa, Przyłuski przekładał swoje przeżywanie piękna na wiersze. Swoisty *musée imaginaire*, jego tomik *Strofy o malarstwie* składa się na liryczny podręcznik po historii sztuki. Interesuje go nie kopia rzeczywistości, lecz wizerunek wszechświata. Fascynują go prapoczątki sztuki jaskiniowej, Fra Angelico i Giotto, Piero della Francesca i Ghirlandaio, mistrzowie holenderscy, Michał Anioł i Bellini, Celnik Rousseau i Rouault, aż

po kubistów i postkubistów. Doszukuje się wszędzie pierwiastka metafizycznego, mistycznego, gdyż istotą sztuki jest dla niego świętość, a pobożnego Giotta z pierwszym poganinem łączy wyczucie czy odczuwanie *sacrum*. Duchowość zespala się ze zmysłowością, zauroczeniem barwami: pisząc o Tycjanie poeta twierdzi, że w kolorze jest zbawienie. Nie jest przypadkiem, że tomik ten Przyłuski zadedykował Marianowi Bohuszowi-Szyszko, który z kolei dla Terleckiego był przede wszystkim malarzem inspiracji religijnej, pędzlem i paletą przemieniającym materię w światło o wymiarze mistycznym. Bohusz-Szyszko zresztą obu panów sportretował w różnych okresach.

Bronisław Przyłuski, fot. arch. Barbary Gaździk, Londyn.

Polityka tylko pozornie dzieliła Przyłuskiego i Terleckiego. Pierwszy na emigracji był nielewicującym członkiem PPS, drugi należał do Polskiego Ruchu Wolnościowego Niepodległość i Demokracja, przed wojną zaś, jako radykał społeczny we Lwowie, do Zespołu Stu. Z żyjących poetów szczególnie sobie cenili Józefa Wittlina. Wspólna też była fascynacja Bolesławem Leśmianem, którego wpływ odczuwa się zwłaszcza we wczesnej twórczości Przyłuskiego.

Terleckiemu poezja Leśmiana kojarzyła się z wielkim olśnieniem w latach choroby, spędzonych w zakopiańskim „Bratniaku”, gdzie zbiorowe przeżycie *Łąki* stało się wstrząsem. Tamte wspólne lektury „miały coś z mistycznych inicjacji orfickich”, a doznany zachwyt „stał się religią czynną. Organizowaliśmy dla profanów zebrania wtajemniczające”. Konkludował:

> To może nie jest złudzenie, że z tej poezji płynęło w nas zdrowie, wola życia, zajadła determinacja walki ze śmiercią. To już może być złudzenie, że około tego czasu zaczęliśmy jakby nieco rzadziej umierać.

Esej Terleckiego o Leśmianie pochodzi z 1948 r., rok wcześniej wydał z ramienia Stowarzyszenia Pisarzy Polskich *Łąkę* i *Traktat o poezji* (1947), rękopis *Traktatu* zakupił od wdowy. Z okazji 20. rocznicy śmierci poety Przyłuski napisał wstęp do wydanych przez Veritas *Klechd polskich*. Wraz z Terleckim uczestniczył w wieczorze leśmianowskim urządzonym przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie w Instytucie im. gen. Sikorskiego (22 I 1957 r.), na którym występowali także Mieczysław Giergielewicz, Herminia Naglerowa i Tadeusz Sułkowski; wiersze czytała Tola Korian.

Innym wspólnym obiektem zainteresowań Przyłuskiego i Terleckiego był zmarły w 1926 r. austriacki poeta Rainer Maria

Rilke, który zajmował poczesne miejsce w galicyjskim panteonie literackim. Cieszył się swoistym kultem w środowisku intelektualnym Lwowa, tłumaczył go m. in. Józef Wittlin. Mimo że Terlecki wyniósł ze swej szkoły austriackiej znikomą znajomość języka niemieckiego, został w 1931 r. skłoniony do wygłoszenia odczytu we lwowskim Kasynie. Nie znał wówczas przekładów Wittlina, za to podkreślał wyjątkowe walory niewydanego jeszcze przekładu Stanisława Maykowskiego (ówczesnego kierownika literackiego *Słowa Polskiego*) *Pieśni o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke*. I zakończył swoją prelekcję: *„Incipit mysterium poesiae*. – Poczyna się misterium poezji”. Potem dwoje przyszłych londyńczyków, Ewa Kuncewiczówna (żona Schillera) i Leopold Pobóg-Kielanowski recytowali utwory poety.

Był to jednorazowy wyczyn Terleckiego. Natomiast długoletnie obcowanie Przyłuskiego z autorem *Elegii duinejskich* ukoronował w 1977 r. przekład wspomnianej *Pieśni o miłości i śmierci korneta Krzysztofa Rilke*, wydany przez Polską Fundację Kulturalną w Londynie.

W eseju o Leśmianie Terlecki pisze:

> Bo każda prawdziwa poezja jest łaską wzmożonego życia, łaską pocieszenia i umocnienia w życiu.

O zbiorowym czytaniu w latach zakopiańskich twierdził, że

> osobiście nigdy przedtem, nigdy potem nie przeżyłem takiej wspólnoty przyjaźni, braterstwa, porozumienia.

Mimo, że poeta i krytyk nigdy za życia nie wypili bruderszaftu, czas pozaziemski pozwala na odrabianie zaległości. Spacerując po wielkiej galerii kosmicznej miłośnicy teatru, poezji i malarstwa mają o czym rozmawiać. Dialog w zaświatach trwa. Może warto mu się przysłuchiwać.

Artykuł ukazał się w „Przeglądzie Polskim” dodatku do nowojorskiego „Nowego Dziennika”.

Nina Taylor-Terlecka o Bronisłąwie Przyłuskim:

https://www.cultureave.com/bronislaw-przyluski-poeta-dramaturg-i-czlowiek-teatru/